

Artur Gruszecki.

Po ślubie.

9

— Ja też nie myślę wyjeżdżać, — zaśmiał się zadowolony Winecki.

— Ani ja! — potwierdził Orszycki.

— A wiecie wy, co powiem? — poprawił binokle Szabelski, — od czasu, do czasu, tak, na dzień, na dwa, dobrzeby było wyrwać się z tych murów w pole.

— To się rozumie, — pospieszył prezes, — tak na Bielany... na Skąły Panieńskie... wziąć ze sobą pilznera, jedzenie, to nawet dobrze robi.

Orszycki przez chwilę wpatrywał się w Wineckiego, wreszcie zagadnął:

— Panie budowniczy, a dokąd wyśle pan żonę?

— Mówiłem, że nie wiem... Zapytam się, wywiem, i dopiero zdecyduję.

— Hm... a jeśli tam nie dostanie na wsi ani mięsa, ani bułek, ani piwa... jakże wysłać żonę? dziecko? — zrobił uwagę Szabelski.

— A czy ja Herod? — zaśmiał się Winecki, — przecież nie myślę ogłodzić żony, ale żadnych zabaw, tańców, muzyki, strojów... Kiecka z perkalu wystarcza.

— To dobry pomysł, — rzekł z uznaniem Orszycki, — i jak tylko pan budowniczy dowie się o takiej wsi, proszę mi dać wiadomość... Kto wie, czy i mojej żony tam nie wyśle.

W czasie tej rozmowy zbliżył się do stołu niewyraźny blondyn, z twardą podłusną, żółtawą, pomietłą, z wąsem przyciętym, z włosami konopianymi, starannie przyczesanymi. Był to pan Merczak, właściciel jednego z pierwszorzędných zakładów krawieckich. Ubrany był z wyszukaną elegancją. Kłaniał się siedzącym przy stole cedząc słówka:

— Moje uszanowanie panu radcy, — kłaniał się Szabelskiemu, — sługa pana prezesa, — ukłonił się nisko.

Prezes spojrzał łaskawie na krawca i rzekł protekcyjnie:

— Siadaj pan, panie Merczak. Cóż tam w interesie?

— Jak zwykle, panie prezesie, roboty dużo, pieniędzy mało, — odpowiedział z ukłonem, zbadał czystość krzesła, otarł je chusteczką i siadł, wdychając się do zebranych przy stole.

— Jasiu, daj i mnie znać, — zwrócił się Szabelski do Wineckiego, — gdybyś znalazł podobną wieś.

— Darują panowie, — cedził słówka Merczak, co mu się wydawało wysoce arystokratycznym, — że domyślam się, iż macie zamiar wyjechać na świeże, lubie powietrze z miasta dusznego, pełnego niezdrowych woni. Szczęśliwi z panów ludzie! — westchnął, — ja mogę sobie na to pozwolić dopiero w martwym sezonie, — spojrzał melancholijnie i napił się piwa.

— A toś pan trafił kulą w płot, — zaśmiał się grubo prezes, — żaden z nas ani myśli wyjechać.

— Jednakże wyraźnie słyszałem rozmowę o wsi, — powiedział Merczak lekko zmieszany.

— To żony, panie majster, chcą się przewietrzyć, bo ich przypieka, — śmiał się prezes.

— Żony mają rację, — mówił Merczak z miną mędrca, — tego wymaga higiena i renowacja sił żywotnych, — ostatnie słowa wymówił podniesionym głosem z miną profesorską.

— Gadanie i tyle, — wzruszył ramionami Winecki, — jaka tam higiena u nich, ot chcą się przetryndać i jadać... a pańska żona co?

— O ile aura będzie stosowna, wyjedzie najpierw ona, wszystko przygotowuje, urządzi, i dopiero ja zjadę do spokojnego, cichego zakątka wiejskiego.

— Wygodnie pan się urządza, — uśmiechnął się Szabelski, — na żonę rzuca pan wszystkie kłopoty.

— Za to ja pracuję cały rok, — wyjął srebrną papierośnicę i zapalił papierosa, — a z powodu mego fachu mam nerwy poszarpane.

— O! O! — zaśmiał się prezes, — wielka mi historia brać miarę na portki albo na surdut. Krojczy potnie, czeladnik uszyje, i skąd te nerwy poszarpane?

Wszyscy roześmiali się, Merczak zaś wypro-

stował swą chudą, kanciastą postać i rzekł z przymuszonym uśmiechem:

— Wolne żarty pana prezesa... może dawniej nasz fach tak traktowano, ale dziś inne czasy. Kundman, to nie kamienica, — był to przytyk do prezesa, który jako blacharz pokrywał dachy, — on ma swą wolę, fantazję, upodobania, stosownie do charakteru i pozycji socjalnej.

— Ładny z pana majster, — zadrwił Orszycki, — gdy każdy klient w pracowni rozkazuje, no, poszedłbym na dziady, gdybym słuchał klientów.

— I ja nie usłucham, — zawołał żywiej Merczak, — ale dobry ton wymaga wysłuchać kundmana i wytłómaczyć mu, że jego żądanie nie zgadza się z kunsztem krawieckim. Ja mam zresztą samą wyborową publiczność i miło jest posłuchać zdania równie światłego i uczonego.

— I dużo pan się dowie, — zaśmiał się prezes, — jaki pan był, taki i zostanie.

— O, ja cenię przekonania swoje i innych. Od swego nie odstąpię, ale dobrze posłuchać, co inni mówią. Ot i dzisiaj, jeden uczony dowodził mi, że lato tegoroczne z powodu nacisku i prądów powinno być słotne... to też nie wiem, czy wyjadę. Z drugiej strony znów jeden z kundmanów mówił mi, że barometr idzie w górę i zapewniał mnie, że pogoda pewna i stała. Teraz nie wiem komu wierzyć? — uśmiechnął się z miną przebiegłą człowieka wiedzącego o tej sprawie lepiej od innych.

— Głupstwo, panie Merczak, — zawołał prezes, — ile razy mówią mi: barometr idzie w górę, będzie pogoda, idę o każdy zakład, że będzie deszcz. Ten cały barometr to wielkie oszukiństwo, i więcej wierzę kotce, która się myje na pogodę, aniżeli barometrowi.

W kwestyi przepowiadania pogody lub niepogody każdy dojrzały człowiek posiada swe osobiste poglądy, które usilnie narzuca drugim, jako jedyne, pewne, nieomyłne.

Panowie przy stole mieli swoje wyrobione poglądy w tej sprawie. Zgadzała się jednak wszyscy, że barometrom nie można wcale wierzyć. Każdy z nich chciał zabrać głos, lecz jako ludzie dobrze wychowani umilkli, gdy Winecki, najbardziej porywczy z nich, zawołał namiętnie:

— Trzeba być idiotą, ażeby wierzyć w barometr! Ktoś mi mówił, że on wskazuje ciśnienie powietrza, — uśmiechnął się wzgardliwie, — tak panie głupcom gadaj, nie mnie... Bo to panie tak jest: — mówił tonem pedagoga, rysując palcem po stole, — naokoło jest powierze, wszędzie się wciska, w każdą dziurę, a bokami idą deszcze... Powieje z prawej strony i napędzi chmury z deszczem... powieje z lewej strony, napędzi chmury z deszczem. I jakie tu ciśnienie? Czy to nie jest wieruine łgarstwo?

Dla zebranych przy piwie panów wykład ten był tak jasny i logiczny, że zgodnie mu przyświadczyli, a Szabelski w obawie, że kto inny zacznie mówić, poprawił okulary i szybko powiedział:

— O barometrze niema co gadać, tyle wart, co ten popiół, — otrząsnął z cygara popiół na ziemię, — ja panie wierzę w kapucyna.

— Nie w reformata? — zaśmiał się Merczak. Szabelski poprawił okulary, zmarszczył brwi i rzekł surowo:

— W poważnej dyskusji żarty takie nie są na miejscu... chyba, że pan nie wiesz o barometrze jedynie prawdziwym z Kapucynem.

— Wiem, panie radco, — odpowiedział skromnie.

— Nie wiesz pan, — podniósł głos, — albo wiem nie mówiłbyś pan o reformatach. Otóż jest to przyrząd doskonały i niezawodny... taki kapucyn na deszcz włazi do budki, a na pogodę wyłazi. Mam go u siebie.

— No, i sprawdza się? — spytał niedowierzająco Winecki.

— Zawsze, tylko teraz z powodu wazoników w oknie trzymam go w szafie i zepsuł się. Nie włazi do budki.

— Może zepsuta, — dorzucił Winecki.

— Może, bo kilka razy spadł na ziemię i już go nie próbuję.

Chwili zakończenia czekał niecierpliwie Orszycki i patrząc na towarzyszków, zaczął tonem przekonywującym:

— Ja, panowie, mam inny, niezawodny środek poznania pogody, — umilkł na chwilę, a stwierdziwszy zainteresowanie słuchaczy, mówił:

— Każdy może go spróbować i przekonać się o prawdzie. Ja nie potrzebuję barometrów... kapucynów... to są bajki dobre dla dzieci, ja mam inny.

— No, powiedz radca nareszcie, — zachęcał

prezes, — pewno jakieś babskie praktyki, bo wiadomo, że radca babiarz, — śmiał się.

— O, wcale nim nie jestem, — zaprzeczył. — Teraz napewno, ale byleś radca, — uśmiechnął się Szabelski, — znany byleś z tego.

To wspomnienie zdobywcy niewiast było mu miłe, bo rozpromienił się, przyglądał węża, ale westchnął i rzekł:

— Było kiedyś, było... dawniej, po sumie...

— A cóż z tą pogodą? — przerwał mu Merczak.

— Aha, otóż bierze się szklanę, ale lepiej filiżankę czarnej kawy... nie białej... bez łyżeczki w środku i rzuca się cukier... Jeśli te bulki z cukru...

— Pęcherzyki, — poprawił Winecki.

— Wszystko jedno, bulki, czy pęcherzyki, — powiedział Orszycki zniecierpliwionym głosem, — każdy wie, o co idzie. Jeśli one gromadzą się na samym środku, pogoda pewna, a jeśli rozchodzą się na boki... deszcz!

— I naprawdę tak jest? — spytał Szabelski.

— Mało sto razy próbowałem.

— A sprawdziło się? — dopytywał się prezes.

— Hm... prawdę mówiąc, zapomniałem zauważyć, czy była pogoda, czy deszcz, bo czy mało mam innych rzeczy na głowie?

Wszyscy nie tylko zrozumieli, ale i uznawali słuszność powodu niezauważenia pogody, bo przecież trudno zważać na zmiany powietrzne, gdy ma się interesa na głowie.

Merczak z uśmiechem wyższości i pewności siebie rzekł:

— Pan radca Szabelski i pan radca Orszycki powiedzieli nam o sposobach ogólnych, że tak powiem, społecznych, ale ja posiadam swój własny... że tak powiem, przywiązany do osoby.

— Już wiem, — przerwał mu Orszycki, — masz pan nagniotki.

— Albo drze cię reumatyzm, — zaśmiał się prezes Blum.

— Ale cóż znowu!? — zawołał Merczak energicznie, — te rzeczy, o których panowie mówicie, należą do chorób klinicznych, a ja powiedziałem, że mam autentyczny sposób.

— No, jaki?

— Mam szafę... jest u mnie z piętnaście lat... Rano potrzebuję ją tylko otworzyć, a już wiem, czy pogoda, czy deszcz? Jeśli skrzypi, to deszcz, jeśli cicho się otwiera, pogoda. Mówiłem o tej własności szafy z jednym profesorem, powiedział mi, że to siła mistyczna.

— No, no, — dziwił się Orszycki, — i to taka prosta szafa przepowiada.

— O, przepraszam, prosta nie jest, — zaprzeczył, — prawdziwa orzechowa i rzeźbiona.

— To fornirowana, — dodał tonem znawcy Winecki.

— A tak, fornirowana.

Umilkli na chwilę i każdy rozmyślał nad swym sposobem odgadywania pogody, Orszycki jednak, który miewał skłonność do uogólniań i z tego powodu nazywano go filozofem, rzekł sentencyjnie:

— Wszystko zależy od wiary. Ten wierzy w kapucyna, drugi w szafę, ja w kawę i z tą wiarą każdy jest szczęśliwy.

Ta mądra sentencja trafiła do przekonania wszystkich, a Blum, wdowiec od dziewięciu lat, uzupełnił to zdanie:

— Radca Orszycki dobrze powiedział, tylko z wiarą człowiek szczęśliwy, bo i coby było, gdyby mąż żonie nie wierzył? — kończąc te słowa, spojrzał złośliwie po obecnych, żonatych, i dodał: — ja spokojny, bo moja już nieboszczka, Panie świeć nad jej duszą.

Szabelski uczuł się dotknięty tem spojrzeniem, poprawił okulary i rzekł poważnie:

— Mało jest mieć wiarę w żonę, trzeba mieć, jak ja, oczy otwarte i widzieć fakta. Ja niby nic, a wszystko widzę.

— Niby co? — zaśmiał się prezes.

— Wiem, wiem, — uśmiechnął się drwiąco, — psie ozory mówią o Niedzickim, ale on bywa z mojem pozwoleniem, i sam proszę żony, ażeby się nim wyręczała, bo ja w dzień nie mam czasu.

— Co do mojej, jestem spokojny, — powiedział szczerze Orszycki, — kawalerów nie puszczam na próg... co innego żonaty, jak Marski, ten ma swoją, co mu po cudzej?

— Zaś u mnie, — zawołał z tryumfem Winecki, — nie bywa ani kawaler, ani żonaty. Znam mnie ludzkie, że nie żartuję.

Ta mina tryumfatora ubodła Szabelskiego i rzekł z niewinnym uśmiechem:

— Zapomniałeś, Jasiu, o Bachmackim.

— Bachmacki bywa u mnie, nie u mojej żony, — rzekł dobitnie. — Mam budować dla To-